

MIROŚLAW M. BUJKO



ZŁOTY POCIĄG

MIROŚŁAW M. BUJKO
ZŁOTY POCIĄG

O nędzny świecie! Zmienny i zuchwały!
Ślepy, kto w ciebie wierzy mknąc ku zdradzie.

Francesco Petrarca

Przerobić trzeba wszystko. Urządzić tak, by wszystko stało się nowym; by kłamliwe, brudne, nudne, wstrętne życie nasze stało się sprawiedliwe, czyste, wesołe i piękne.

Aleksander Błok

Nieszczęsny – będziesz miał to, czegoś chciał.

Platon



Prolog

Jekaterynburg, piwnica domu
Ipatjewa, 17 lipca 1918 roku,
godzina 2.03 nad ranem.

Rozporządzenie Uralskiego Komitetu Wykonawczego: Z uwagi na wiadomość, iż czeskie bandy usiłują zagrozić stolicy obwodu uralskiego, Jekaterynburgowi, oraz w obliczu faktu, iż koronowany kat mógłby ukryć się i ująć przed ludowym trybunałem, Komitet Wykonawczy, akceptując wolę ludu, podjął decyzję o straceniu byłego cara Mikołaja Romanowa...

„W takiej chwili umysł zatrzymuje się nad dziwnymi rzeczami i wcale, co zastanawiające, nie myśli się o sprawach ostatecznych albo o pojednaniu się z Bogiem. Z jakim Bogiem? Jakie pojednanie? Nie ma żadnego Boga. W tej chwili bogiem jest przewodniczący trybunału ludowego, Jakow Jurowski, a boskim wyrokiem to nieodwołalne, jak się wydaje, czytane właśnie przez niego rozporządzenie. Cóż mogę zrobić? Nic. Mogę nie stracić godności, której i tak już nie mam. Mogę się wyprostować i z całych sił pokazać, że się nie boję. Ale boję się. Nie mogę powstrzymać się od patrzenia na mauzera zastępcy Jurowskiego, Piotra Jermakowa, na długą lufę amerykańskiego automatycznego browninga, trzymanego pozornie niedbale, pod pachą, przez miejscowego czekistę Michaiła Miedwiedjewa-Kudrina, na karabiny reszty tej bandy, stłoczonej przy wejściu i w drzwiach, bo obite otynkowanym drewnem pomieszczenie jest wyjątkowo małe. Wybrali ten ohydny, ciasny pokój pewnie dlatego, żeby nie było rykoszetów. Wiem dostatecznie dużo o broni, by spostrzec, że już ją odbezpieczono. Ten ponury, czarnobrody żydowski pajac nawet z zemsty nie mógł podjąć takiej decyzji sam. Jest na to zbyt słaby i tchórzliwy. Musiał zdecydować ktoś na samej górze. A ja... Czyż sam nie okazałem się zbyt słaby i tchórzliwy? Czy to nie konsekwencje moich czynów, a raczej ich braku? Szkoda, że takiej ostatecznej chwili jak ta,

pod sklepieniem brudnej, zatechłej piwnicy, w świetle zakurzonej gołej żarówki, nie można przeżyć wcześniej. Gdzieś w środku życia. Ale tylko przeżyć, a potem do tego życia znów powrócić, wzbogacony o płynącą z niej lekcję. Taka scena, jak dramatyczny zwrot w drugim akcie greckiego dramatu, przywraca rzeczom i wartościom ich właściwe znaczenie i miejsce, uświadamia totalną nieważność ziemskiej potęgi, władzy, bogactwa. Czymże bowiem jest w chwili tego ostatecznego sądu – ostatecznego, bo nieodwołalnego, w którym to nie swada adwokatów i dotychczasowa nieposzlakowana opinia, a jedynie uczynki rzucone na szalę decydują o wyroku – czymże, pytam, jest to wszystko, co miałem i czym byłem, wobec stremowanego spojrzenia moich katów? Mają tremę, bo nie mieli jeszcze okazji zabijać cara. Zaraz zobaczycie, jak to jest zostać królobójcą”.

Otworzył przymknięte oczy i przytomniej spojrzał na Jurowskiego, który stał dokładnie naprzeciwko, w szerokim rozumieniu, tak jakby obawiał się, że car w jakimś akcie ostatecznej desperacji zerwie się z krzesła i rzuci na niego. Mikołaj pokręcił głową i kątem oka objął wzrokiem swoją rodzinę po lewej i po prawej, nieco z tyłu, bo jego krzesło, starannie planując scenografię tego wydarzenia, wysunięto do przodu. Po prawej siedziała upiornie pobladła w świetle żarówki żona, po lewej kulił się zaspany Aleksy. Córki – Olga, Anastazja, Tatiana i Maria – stały z tyłu. Choć wykręcał głowę, nie udało mu się dojrzeć stojących w kącie doktora Botkina i trojga służby. Rozluźnił uwierający go kołnierz mundurowej bluzy i postanowił pomóc Jurowskiemu, który najwyraźniej potrzebował sygnału. Spytał:

– Co takiego? Proszę powtórzyć.

Jurowski jeszcze raz spojrzał na kartkę, z której odczytywał wyrok. Starając się nie spotkać spojrzenia Mikołaja, powiedział:

– Ponieważ pańscy krewniacy nie przestali atakować Rosji Radzieckiej, Uralski Komitet Ludowy postanowił skazać pana na śmierć...

Mikołaj zrozumiał, że to już. Położył dłoń na ramieniu syna i patrząc przed siebie, wyrzekł dobitnie, uświadamiając sobie, iż znów, po kilkudziesięciu sekundach zwątpienia, uwierzył w tego, którego się wyrzekł:

– Oby Bóg dał nam królestwo niebieskie...

Jurowski wypychał jeszcze wyrok do kieszeni na piersiach, gdy Piotr Jermakow wyciągnął z kabury mauzera. Jednak jeszcze szybszy był Michaił Miedwiedjew. Przez cały czas trzymał odbezpieczonego browninga pod pachą. Wystarczyło tylko nacisnąć spust.



Piotrogród, podziemia skarbcza cesarskiego w Pałacu Zimowym, listopad 1917 roku, północ.

Senne warty miarowo przechadzają się w poprzek obszernego przedsionka skarbcza. Żołnierze z kompanii wartowniczej, przydzielonej do ochrony tego miejsca, są wyjątkowo dobrze ubrani i świetnie uzbrojeni. Każdy z nich prócz krótkiego, poręcznego karabinka Lee-Enfield ma w kaburze rewolwer, a przy pasie granat. Jakby tego nie było dość, środek pełnego echa holu zajmuje rozkraczony na żelaznym trójnogu, gotowy do strzału, ciężki maxim niemieckiej produkcji.

Gdyby zmieniający się co cztery godziny wartownicy mogli przeniknąć wzrokiem pancerne wrota głównego skarbcza, ich oczom ukazałby się niezwykle widok: w świetle skąpo rozmieszczonych żarówek w błękitnych, oplecionych drucianymi koszulkami kloszach, oświetlających rozległe pomieszczenie głównej sali, którego strop podpierało kilka symetrycznie ustawionych kolumn, połyskiwały nieskazitelne w formie piramidki, ułożone ze złotych sztabek, opatrzonej cechą. Obok piętrzyły się stosy tysięcy skrzynek ze złotymi i srebrnymi monetami, a jeszcze dalej, w kącie sali, widać było piramidy sztabek platyny. Ale zbrojona, betonowa podłoga skarbcza,

o grubości ponad półtora metra, pod którą była już tylko warstwa izolacyjna i kamienisty grunt, nie odczuwała ciężaru z górą pół tysiąca ton kruszców wysokiej próby. Złoto spało, podobnie jak każdy skarb, o którym nie wie zbyt wielu ludzi. Skarb tej wielkości budzi się z uśpienia i zaczyna żyć własnym, pełnym tajemniczych i potężnych sił życiem dopiero wtedy, gdy ludzie, którzy się o nim dowiedzą, zapragną owe siły uruchomić i wykorzystać.

Wtedy skarb, niczym potężny elektromagnes, otacza się liniami nieodgadnionego pola, sycącego się i wzmacniającego ludzką żądzą posiadania – i jest w stanie mocą tajemniczego rezonansu żądzę ową podsycać i wzmacniać. Złote Runo czeka na Argonautów.



Iwan Wiktorowicz Każedub,
lat 24, oficer moskiewskiego
oddziału Czeka. Moskwa,
początek marca 1918 roku,
godzina 7.30 rano.

Ten marcowy ranek byłby bardzo przyjemny. Było mroźno, sucho i bezwietrznie. Powietrze miało miłą świeżość moskiewskiego mrozu. Niebo całkiem bezchmurne, a ciepło ostro świecącego słońca można było bez trudu wyczuć na policzkach i dłoniach. Przydałyby się jeszcze dwie rzeczy: śnieg, dzięki któremu szare i zaniedbane miasto wyglądałoby bardziej odświeżenie, i odrobina radości w oczach przechodniów. Gdy napotykał ich spojrzenia, wydawały mu się nieodmiennie przygaszone, czasami przestraszone i zaniepokojone. Doskonale wiedział, czym się martwili: że kończą się zapasy, że nie ma już czym palić w piecach, że z rzeczy, za które można kupić kolejne dni i tygodnie życia, została już tylko ślubna obrączka i złoty medalion z sepiowym portrecikiem, przechowywany na dnie najgłębszej szu ady.

Uważał jednak – ba, był tego niemal pewien – iż powinni mieć w sobie więcej optymizmu; w końcu wszystkim jest teraz ciężko, a ta zbiorowa narodowa żaloba sprawia tylko, że jest jeszcze ciężej. Czy jemu nie było ciężko? Powiedzmy sobie szczerze, najbardziej podstawowe sprawy nie obciążały go w takim stopniu jak ich. Miał deputaty – żywnościowy i węglowy – kupony mundurowe i możliwość stosunkowo tanich zakupów nawet takich produktów, o których większość mogła tylko pomarzyć. Miał też od kilku dni coś, o co oni musieli stale się niepokoić: służbowe mieszkanie w zaułku Ryżewskim, a w swoich trzech milutkich pokoikach, na drugim piętrze, pod numerem 7, absolutną pewność, że nikogo mu nie dokwaterują. W takich czasach to naprawdę sporo. Trzeba dodać, że w mieszkaniu, z którego wykwaterowano przedtem jakiegoś bankowego prokurenta, była cudowna łazienka z majolikową, ciemnozieloną wanną, wystarczająco długą nawet na jego pokaźny wzrost i na tyle głęboką, by można było, marząc, zwiesić ręce, jak jakiś Marat przed zamachem, a skołataną całodzienną bieganiną głowę wygodnie oprzeć na przemyślnie zaokrąglonym rancie. Węgla mu nie brakowało. Mógł więc codziennie, co zapewne sprawiłoby w osłupienie przeciętnego moskwianina, palić w łaziebny piecu i wylegiwać się w lekko brunatnej od rdzewiejących rur, ale rozkosznie parzącej biodra i brzuch wodzie. Nic więc dziwnego, że naprawdę lubił tam wracać. Lubił chrobot klucza w patentowym zamku, zainstalowanym zapewne przez nieszczęsnego prokurenta, któremu – nim wyrzucono go tak jak stał, w jakiejś atlasowej, nieprawdopodobnej bonzurce na ulicę – kazano oddać wszystkie komplety kluczy. Oddał dwa, porządnie nanizane na mosiężne kółka z brelokami, przedstawiającymi całkiem udatnie niedźwiadka stojącego na tylnych łapach. Dla porządku trzeba dodać, że oba niedźwiadki trzymały kółka do nawlekania kluczy w przewierconych na wylot mordkach. Prócz klucza do patentowego zamka na kółku były kluczyki do skrzynki na listy i do suszarni

na strychu. Zaraz pierwszego dnia poszedł tam nie wiadomo po co, chyba z prostej, nieco chłopięcej ciekawości. Cała kamienica przy Sadowej 13a była już wykwaterowana z bankowych prokurentów, adwokatów i lekarzy, skrzypków z lharmonii, admirałów i kapitanów, radców nadzwyczajnych i rzeczywistych oraz zwykłych moskiewskich dorobkiewiczów. Od razu poznał, które rzeczy należały do prokurenta, wysiudanego w ostatniej kolejności. Koszule i bielizna nie pasowały do innych suszących się rzeczy. Miały metki najlepszych londyńskich domów mody, zupełnie niewystrzępione mankiety i kołnierzyki – i coś tak szykownego i niezwykłego, iż, niewiele myśląc, przywłaszczył je sobie wszystkie. Przymierzał potem te koszule przed zdobiącym mały przedpokój tremo. Przyznać trzeba, iż towarzyszył owej czynności przyjemny i podniecający dreszczyk. Nie przeszkadzało mu to, że koszule opinały kiedyś tors kogoś innego, że mydło, którym zaprano kołnierzyki i mankiety, miało obcy, sterylny i trochę gorzki zapach, nie robił sobie nic z tego, że wyhaftowany na każdej sztuce złotą jedwabną nitką monogram – ozdobne WD – zupełnie nie dał się przełożyć na jego personalia. Usiłował przez chwilę przypomnieć sobie imię i nazwisko wyrzuconego na bruk prokurenta, wygrawerowane na błyszczącej mosiężnej tabliczce. Widział je przez chwilę, nim wizytówkę podważył bagnetem i oderwał jeden z towarzyszących mu żołnierzy, by schować – nie wiadomo po co – do kieszeni szynela.

„Bodaj Wadim. Tak, Wadim, ale nazwisko było jakieś skomplikowane. Daromyłkin? Dargomyłkin? Bodaj cię! Aha, już wiem – błysnęło w jego wytrenowanym w zapamiętywaniu szczegółów mózgu. – Oczywiście: Wadim Z. Dargomyżski – prokurent I Oddziału Banku Handlowego. – Uśmiechnął się zachwycony sprawnością swojej pamięci. – Tylko co u licha może znaczyć owo Z? – Bawił się chwilę próbami wymyślenia imienia dla ojca Wadima, wykręcając się jednocześnie tak, by zobaczyć, jak frakowa koszula układa się na plecach. – Zachar?

Nie, to zbyt chłopskie. – Ale czy znał jakieś inne imiona na Z? – Mam! Może Zinowij. To by pasowało. Jeśli pasowało samemu głównemu dowódcy Eskadry Bałtyckiej, tej samej, która dostała takie straszne lanie od admirała Togo, będzie tym bardziej odpowiednio dla ojczulka jakiegoś tam nędznego prokurenta, choćby nawet i I Oddziału, a więc, Wadimie Zinowijewiczu, muszę przyznać, że urządził się pan tu wcale wygodnie. Dla mężczyzny nieżonatego takie trzy pokoje, i to w dobrym punkcie, zupełnie wystarczą”.

Salonik-jadalnia połączony był rozsuwanymi, oszklonymi drzwiami z przytulną sypialnią, której duże pojedyncze okno wychodziło na Sadową, a ściśle mówiąc, na nagą o tej porze koronę olbrzymiego kasztanowca.

„No i to wspaniałe, podwójne łóżce z istnym grzęzawiskiem obszytych jedwabiem poduch, poduszek, poduszeczek i jasiczków. Najwyraźniej odwiedzały tu pana kobiety. Zresztą subtelny zapach intymności daje się wciąż wyczuć w jedwabiu. Z saloniku przez niewielki przedpokój wchodzimy do gabinetu. Nie znam się specjalnie na literaturze, ale myślę, że Wadim Zinowijewicz był nie lada koneserem. Całą ścianę naprzeciw rozłożystego biurka z mnóstwem szuadek i dodatkowo wysuwanych blacików zajmowały książki, pedantycznie poustawiane według działów; osobno poezja, osobno proza, na dole encyklopedie, słowniki, bankowo-prokurencka literatura fachowa. Żadnych wystrzępionych okładek, rozpadających się obwolut – i jeszcze cała półka roczników czasopism. «Ruskije Wiesti», «Moskowskije Wiedomosti». Kwartalnik finansowy, a tu jakieś pisma francuskie, pełne roznegliżowanych, frywolnych ilustracji. Nie nudził się pan, Wadimie Zinowijewiczu, czekając na swoje kokoty. Biurko obejrzymy sobie później, w wolnej chwili. Trzeba będzie pewnie podważyć to i owo, bo pan prokurent nie zostawił żadnych kluczyków. Już się cieszę na to penetrowanie. Zabiorę się do tego metodycznie, tak jak do wszystkiego. Potrzebna będzie butelka koniaku, coś do chrupania. Siądę

sobie po turecku na grubym dywanie, będę wyciągał szu adę po szu adzie, przeskukam skrytkę po skrytce. Na pewno będą jakieś fotogra e, może nawet akty, może znajde parę koronkowych majtek, jeśli pan prokurent miał takie ciągoty, a może jakieś tajne dokumenty, świadczące o tym, iż działalność bankowa nie była jedynym przestępstwem Wadima Zinowijewicza? Może spiskował? Może wówczas będzie mi łatwiej korzystać bez skrupułów z Wadimowego gniazdka? Nie mogłem tra ć lepiej i wydaje mi się, że mógłbym tu spędzić resztę życia”.

Ostry dźwięk klaksonu wyrwał go z myśli o trzech pokoiakach na Sadowej. Omal nie wszedł wprost pod koła ciężarówki pełnej marynarzy, która zahamowała tak gwałtownie, że czernomorców w rozchełstanych mimo mrozu czarnych kurtach rzuciło do przodu na brezent szoferki. Kierowca wychylił się z kabiny, chcąc pewnie posłać Iwanowi wielopiętrową wiązanke, ale kiedy napotkał jego spojrzenie, dał spokój i z wysiłkiem, krzywiąc się, włączył bieg, a ciężarówka, hałasując mozolnie dyferencjałem, potoczyła się dalej. To zdarzało się od jakiegoś czasu. Odnosił wrażenie, że ludzie boją się jego wzroku. Czyżby wyczuwali coś szczególnego? Uśmiechnął się sam do siebie, poprawił szalik, bo marcowy mróz usiłował przeniknąć pod ciepłą, podszytą barankiem, skórzaną kurtkę, i ruszył dalej znacznie już przytomniej, z przyjemnością obserwując ludzi i ulice.

„Tak więc, Iwanie Wiktorowiczu, na czym to skończyliśmy socjalną re eksję, nim marzenia przeniosły nas do naszego nowego, służbowego mieszkanka? Ach tak – więcej optymizmu. Obywatele kochani! Przecież już niedługo wszystkim nam będzie lepiej. Teraz trzeba przeczekać, przetrwać, zmobilizować się. Z uśmiechem będzie łatwiej. Po co się tak stroszyć? Kijem rzeki nie zawrócisz. Już się stało. Już się przewróciło. Zawaliło. Już się nie podniesie. Teraz trzeba iść dalej, budować nowy świat, nowe życie. Ale żeby to zrobić, musicie, tak jak ja, odczepić się od starego, od tego, co było. Strząsnąć z siebie te wie-

kowe pajęczyny, tę pleśń, to zadowolenie i błogie poczucie, że tak już zawsze, że nie do ruszenia. Przywykliście? To teraz odwyknijcie, a jak nie nauczycie się odwykać, to my was nauczymy. Nie czujecie, że powietrze inaczej pachnie, że to już inny świat, inna historia? Nie czujecie tego?”

Wszedł na most Moskwowiecki, którym Ordynka przekraczała rzekę, i jeszcze szczerzej otulił się wełnianym szalem. Rzeka Moskwa skrzyła się miliardami iskier grubej, lodowej pokrywy. Przy wykutych z mozołem przereślach cierpliwie czatowały dziesiątki żądnych świeżej, darmowej stawy wędkarzy. Już się nawet zorganizowali. Któryś przyniósł koksownik z wyszabrowanym pewnie węglem, nad którego skąpym żarem na zmianę rozcierali ręce, zdrętwiałe od czujnego, wielogodzinnego trzymania kija.

„Następnym razem nadłożę drogi, wezmę jakieś wędzisko, pójdę po lodzie. Zatrzymam się, poczęstuję ich papierosem, pogadam, posłucham. Może się czegoś dowiem. Na razie niech sobie łowią, niech sobie rączki grzeją. Niech nabiorą do siebie zaufania, niech się poznają i polubią. Na wszystko jest czas. – Uśmiechnął się do swoich myśli i jeszcze raz upewnił, że to, co robi, sprawia mu przyjemność. Ma to pewnie we krwi. Ale jak ma nie mieć, jeśli jest synem pracownika Ochranki? – Tak, tak, drodzy państwo, tej samej, znienawidzonej i pogardzanej. Ale ochranki są potrzebne w każdych czasach. To, że mamy władzę ludu, nie oznacza, że nie trzeba być czujnym. Otóż właśnie trzeba. Może jeszcze bardziej, bo inaczej diabli wiedzą, co by się porobiło. Takie czasy. Każdy jest podejrzany, każdy jest potencjalnym wrogiem nowego, ale jakże kruchego i względnego porządku, a maskować się łatwo. Wystarczy czerwona opaska na ramieniu i udawany entuzjazm dla nowej władzy. Nikt przecież przy zdrowych zmysłach nie paraduje dziś z pagonami ani w podejrzanie szykownym ubraniu. Wszyscy stali się do siebie dziwnie podobni w niekształtnych szynelach, kurtach, jakichś baranicach i kozuchach. Jak zdmuchnięte znikły szy-

kowe kapelusiki, bobrowe toczki, glansowane rękawiczki. Po co rzucać się ludziom w oczy?” To raczej on się wyróżniał. Uświadomił to sobie teraz z pewnym niepokojem. Przecież od razu można poznać, że jest kimś ważnym, a styl jego stroju narzucał łatwe i oczywiste skojarzenia. Ojcu było o wiele łatwiej. Wyglądał po prostu jak bardzo porządnie ubrany urzędnik. Nikogo wówczas nie dziwiły wyglansowane trzewiki, starannie zaprasowane kanty na spodniach, czyściutkie mankiety i kołnierzyk, starannie przycięte włosy i wygolona do ostatniego włoska twarz. Przy tym wszystkim ojciec ze swymi błękitnymi oczami, rumianymi policzkami i dobrotliwym, łagodnym wyrazem twarzy wyglądał raczej na pracownika jakiejś wyjątkowo niewinnej instytucji, w rodzaju towarzystwa opieki nad wdowami po poległych żołnierzach, albo może raczej na buchaltera lub pracownika domu towarowego. To był oczywiście pozór, bo w rzeczywistości Wiktor Francowicz Każedub był jednym z najbardziej cenionych za efektywność agentów. Szczególnie, gdy w grę wchodziła inwigilacja zorganizowanych grup i środowisk. To jemu Ochranka zawdzięcza rozpracowanie najsilniejszej i najlepiej zorganizowanej grupy na Zakaukaziu, a przecież do Ty isu pojechał niby jako inżynier-specjalista od instalacji wodno-kanalizacyjnych, którym w istocie był z wykształcenia, i to całkiem niezłym, jak twierdzili jego szacowni wykładowcy z Instytutu Technicznego. Byłby do dziś projektował jakieś l-try i przepływy, ale obszar wodno-kanalizacyjny śmiertelnie nudził Wiktora Francowicza. Pewnie dlatego dał się tak łatwo zwerbować do pracy w Ochrance¹. I tak, powiedzmy sobie szczerze, dość wcześnie trafił na właściwą drogę. Gdy został pracownikiem tajnej policji, nie miał jeszcze trzydziestki i długa

¹ Czytelnikowi należy się w tym miejscu wyjaśnienie, dlaczego używamy nazwy Ochranka, a nie Ochra, do czego przyzwyczaili nas polscy historycy. Na początku lat osiemdziesiątych, za panowania Aleksandra III, tajne służby zostały przyporządkowane nowej instytucji – Wydziałom Ochrony Porządku i Bezpieczeństwa Społecznego. Używano coraz częś-

droga awansu stała przed nim otworem. Wszystko było możliwe. Mógłby, gdyby odpowiednio się wykazał, zostać nawet naczelnikiem któregoś z wydziałów, może nawet tego najważniejszego, dbającego o bezpieczeństwo pierwszego w państwie. Albo – kto to wie? – szefem tajnych służb. Wszystko było kiedyś możliwe. Niestety rewolucja zmiotła Wiktora Francowicza ze ścieżki tak pomyślnie zapowiadającej się kariery, ozdobionej już Anną i Złotym Stanisławem za Specjalne Zasługi. Towarzysze z Zakaukazia – ci, rzecz jasna, którzy ocalili z pogromu tak starannie przygotowanego przez Wiktora Francowicza – nie zapomnieli błękitnookiego inżyniera i po latach zadali sobie trud odszukania prowokatora. „Nigdy nie zapomnę bezgranicznie rozżalonego spojrzenia twoich niebieskich oczu, tato, kiedy popychając i szturchając kolbami rewolwerów, wlekli cię pełnym echa korytarzem klatki schodowej. To była nasza ostatnia wymiana spojrzeń. Nigdy zresztą nie miałem odwagi dociekać, co z tobą zrobiono. Wolę myśleć, że cię gdzieś tam wywieźli, że żyjesz na zesłaniu i tylko na razie nie wolno ci pisać listów. Nie chcę sobie wyobrazić, że strzelają ci w tył głowy albo że przebierasz pociesznie nogami w ostatniej ucieczce przed nieudolnie zadzierzgniętym sznurem pośpiesznie skleconej szubienicy”.

Trzeba dodać dla porządku, że Iwan przepadał za ojcem. Uwielbiał jego sporadyczne siłą rzeczy towarzystwo. Wiktor Francowicz był przede wszystkim nadzwyczaj zabawnym człowiekiem, który traktował Iwana jak drugiego zabawnego – tyle że mniejszego – człowieka. Ilekroć zdarzało im się przebywać ze sobą, istotny przecież układ zależności „ojciec–syn” jakby gdzieś znikał – a działało się to przede wszystkim za sprawą Wiktora Francowicza; albo, mówiąc inaczej, układ ten ulegał swo-

kiej nazwy skróconej: *Ochrannoje Otdielenije*, w kolejnym skrócie *Ochranka*. Wszystkie „ochranki” wraz z Wydziałem Specjalnym, pełniącym rolę komendantury, zostały z czasem objęte nazwą *ochranka*. *Ochranka* zaś to nazwa konkretnej jednostki w ramach struktury *ochranki*, np. jednostki ochraniającej cara i jego rodzinę.

istemu, opartemu na porozumieniu obydwu stron, zawieszeniu. Bawili się ze sobą naprawdę znakomicie, wymyślając tysiące absorbujących bez reszty zajęć. Jednym z ulubionych – zwłaszcza gdy na dworze lało i nie było mowy o odwiedzeniu maleńkiej podmoskiewskiej daczy – było rysowanie. Wiktor Francowicz miał niezwykle zdolności rysunkowe i aż dziw, że nigdy poważnie nie pomyślał o wykorzystaniu swych umiejętności. Celował w rysowaniu maszyn, urządzeń, pojazdów i okrętów – i nigdy nie dawał się namówić, by sportretować bliskich albo wykonać podobiznę jakiegoś żywego stworzenia. Iwan także celował w rysowaniu maszyn i pojazdów, ale czasami – gdy był sam – próbował rysować nagie dziewczyny, wspomagając wyobraźnią braki systematycznych studiów anatomicznych. Często zresztą pomagał sobie, kopiując zarysy kobiecego ciała z jakiejś niewinnej, urodzinowej pocztówki. Oczywiście cechą tej metody była konieczność odstąpienia od oryginału w tych miejscach, gdzie najistotniejsze szczegóły kryły się pod sukniami i koronkami. Wykonawszy mozolnie „domyślny”, jakby rentgenowski kontur, Iwan, wysuwając przygryzany w zapamiętaniu język, cyzelował pracowicie subtelny światłocień, starając się wyobrazić sobie, jak też powinna wyglądać naga pierś lub pupa. Szczególną trudność sprawiały mu stopy, bo te zwykle na kopiowanych pocztówkach zasłonięte były kompletnie, jeśli nie spódnicą, to pantofelkami.

Efekty artystyczne owych przemyślnych kolaży były zwykle dość mierne, ale dawka emocji, doznawanych przy okazji ich tworzenia, całkowicie rekompensowała mu trud i pieczenie pogryzionego języka, choć maszyny, a szczególnie lokomotywy i okręty, wychodziły mu znacznie lepiej niż owe naiwne i plagiatorskie akty. Poza tym urządzenia techniczne rysował bez kopiowania, posługując się świetną, fotografną niemal pamięcią. Gdy więc w taki deszczowy dzień kończył jeszcze jeden rysunek jakiejś lokomotywy, przychodziła kolej na ojca, który w czarodziejski sposób potrafił z niedoskonałego i miej-

scami naiwnego produktu siedmiolatka zrobić absolutnie perfekcyjny – zarówno od strony technicznej, jak i artystycznej – obrazek, mogący z powodzeniem zdobić karty jakiejś bogato ilustrowanej encyklopedii. Gdy ojciec oddawał mu wykończony rysunek, kontemplował go zwykle godzinami, starając się dociec istoty wszystkich tych rysunkowych sztuczek, za pomocą których dokonywało się misterium przeobrażenia naiwnego półproduktu w ostateczną i bezsporną doskonałość.

Z czasem Wiktor Francowicz zdołał nauczyć Iwana większości podstawowych technik rysunkowych, ale od tego momentu proces dwóch etapów tworzenia nie był już tak wyrazisty i zaskakujący, Iwan bowiem, znając właściwą metodę, w wielu przypadkach osiągał tak dobre rezultaty, iż ojcowska korekta wydawała się niemal zbędna. Przerzucili się więc na zabawy z modelami. Szczególnie dobrze bawili się składając model pancernika „Cesariewicz”, który wówczas wydawał się im szczytem myśli technicznej. Dziś, gdy po oceanach grasowały szybkie brytyjskie krążowniki liniowe, niecałe osiemnaście węzłów skonstruowanego przez Francuzów predrednota stanowiło żalosne osiągnięcie przy prawie trzydziestu węzłach takiego „Tigera”, który, notabene, był najslabiej strzelającym okrętem w brytyjskiej linii podczas wielkiej jutlandzkiej zadymy. Iwan i wtedy, i teraz był fanem techniki: mógł godzinami kontemplować jakiś mechanizm, napawając się perfekcją i przemyślnością konstrukcji. Czasami, gdy – choć trzeba przyznać, że zdarzało się to rzadko – nudził się w biurze, wyciągał dolną szu adę sążnistego biurka, gdzie w specjalnym pudełku trzymał utensylia do czyszczenia broni. Miał słabość do długolufowego, ośmiomilimetrowego mauzera C/12 w drewnianej kaburze; z kabury tej można było, mocując ją w przemysłnym zacisku, sporządzić całkiem przyzwoitą kolbę, a wówczas z półautomatu otrzymywało się niby-karabinek, z którego przy odrobinie wprawy i po podniesieniu celownika można było tra ć stojącego człowieka nawet ze stu metrów. Była to broń groźna i sku-

teczna, ale pistolet był ciężki jak diabli, a sztywna kabura objęła biodro i tyłek przy każdym kroku. Jednak czyszczenie mechanizmu mauzera sprawiało rozkosz; był tak skomplikowany i przemyślny, a mimo to prawie nigdy się nie zacinał. Na co dzień jednak, choć większość o cerów preferowała niezawodny, wojskowy model naganta M.1895, używał „odziedziczonego” po jakimś aresztowanym i bodaj rozstrzelanym pułkowniku huzarów amerykańskiego automatycznego colta M.1911, choć o amunicję 0,45-calową do niego było czasami piekielnie trudno. Za to broń była świetnie wyważona, celna i absolutnie niezawodna, nie wspominając o wielkiej sile ognia. Pod warunkiem, że się o nią dbało. Mógł całymi godzinami oliwić i polerować poszczególne części pistoletów. Posuwał się nawet do tego, iż polerował i oliwił wszystkie wyjęte z magazynków naboje, po czym ustawiwszy je równo, niczym żołnierzy w szeregu, przypatrywał się im uważnie, przykucnięty na dywanie, aby ta swoista mosiężno-niklowa parada sytuowała się na poziomie jego uważnego i zachwyconego wzroku.

Bardzo lubił ustawiać, porządkować i wyrównywać, ale robił to bardziej dla samej przyjemności porządkowania niż z wrodzonej konieczności czy jakiegoś imperatywu ładu wokół siebie. Przypominał w tym owych maniakałnych generałów, każących bezustannie de lować wojsku nie po to, by podnieść poziom musztry, ale dla niezrozumiałej dla innych przyjemności porządkowania i wyrównywania. Imperatyw symetrii dawał o sobie znać nawet w sposobie wieszania ręczników w łazience i układania papierów na biurku. Przy skłonności do porządkowania tego, co widoczne, mógł bez szczególnych wyrzutów sumienia utrzymywać miesiącami totalny nieład w szu adach bieliźniarki i na półkach szafy. Do systematycznego układania rzeczy brał się dopiero wtedy, gdy tworzyły już skłębiony bezład, uniemożliwiający zamykanie i otwieranie mebla.

Teraz też czuł miłe uwieranie colta w eleganckiej, choć nieco już wytartej kaburze, podwieszanej na mosiężnych ryfkach do

nowiutkiego dla odmiany i przez to nieco sztywnego pasa, opinającego mundurową, zapinaną pod szyję tołstojowską bluzę. Był jednym z wielu tego poranka uzbrojonych ludzi na ulicy. Należało wszakże założyć, co uczynił z zawodową pedanterią, że jedynie część uzbrojonych mężczyzn tak jak on obnosi swoje śmiercionośne narzędzia jawnie, w poczuciu swoistej legitymacji do zbrojnej demonstracji. On wprawdzie miał swojego colta pod skórzaną kurtką, ale nie musiał go przed nikim ukrywać. Czerwonoarmiści ośmioosobowego patrolu dźwigali swoje mauzery, z nastroszonymi pazurami bagnatów, z równym znużeniem, jak zapewne jeszcze kilkanaście miesięcy temu taszczyli wyszabrowane na pańskim drzewo. Stwierdził, że nie było w nich dumy uzbrojonego człowieka, świadomego swego posłannictwa. On sam z bronią u boku czuł się po trosze rycerzem. Inaczej chodził, inaczej – pewnie jakoś bardziej wyzywająco i dumnie – patrzył na ludzi. Nauczył się tego już w dzieciństwie, paradując z wystruganymi przez Wiktora Francowicza na okoliczność kolejnego szkolnego balu kostiumowego szpadami, których gardy ojciec pieczołowicie oklejał udającą blachę srebrną cynfolią z czekolad Sucharda. Ale, jak sądził podekscytowany obowiązkowymi podejrzeniami, spora liczba mijanych przechodniów też była uzbrojona. Ci z wiadomych powodów nie mogli obnosić swej rycerskiej dumy, był jednak niemal pewien, że gdyby mógł się niektórym długo i uważnie przyjrzeć, intuicja podpowiedziałyby mu, kogo należy natychmiast aresztować i rozstrzelać za nielegalne posiadanie broni.

Skręcił w Warwarę i w kilka chwil był na rogu Rybnego. Zaczął się już zastanawiać, czy nie należałoby się zdecydować – właśnie tu i teraz – na taki eksperyment, gdy tuż przed nim z poślizgiem zablokowanych kół zatrzymał się pomalowany brudnozieloną, maskującą farbą zdezelowany russo-bałt, z plandeką przestrzeloną w kilku miejscach. Tył samochodu zarzucił tak, że jedno koło niemal przejechało mu po czubkach wypastowanych do matowego połysku butów. Odskoczył odruchowo

i bezbłędnym szarpnięciem rozpiął kurtkę, by wyciągnąć colta. Powstrzymał się jednak na widok wyskakującego z samochodu łącznika z centrali, który salutując wyszczeakał mu w twarz spod oklejonych soplami wąsów:

– Towarzyszu! Macie się natychmiast stawić. Rozkaz towarzysza... – Każedub zdążył zatkać gorliwemu czekicie gębę dłonią w rękawiczce i pouczył go surowo syczącym szep-tem:

– Nie musicie tu ryczeć na cały kwartał. Wiem od kogo! Zawracajcie to swoje diabelstwo i gazu.

Nie bez trudu wgramolił się na tylne siedzenie, na którym siedział jeszcze jeden czekista, od stóp do głów obleczony w chromową skóre i łapczywie zaciągający się nad podziw smrodliwą „kozią nóżką”. Na szczęście w przewiewnej, pozba-wionej bocznych szyb budzie auta świeżego powietrza było aż nadto. Pognali w terkocie hałaśliwego motoru, który dymiąc ponad miarę, krztusił się kiepską benzyną i jeszcze bardziej podejrzanym olejem, buksując na podjazdach i niebezpiecznie omiatając wyślizgane mrozem zakręty, tak że Iwan mało nie stracił kawałka przygryzanego z emocji języka.

„Swoją drogą, to ciekawe, jak łatwo mnie znaleźli, a właści-wie znalazł. Przecież ledwie się zakwaterowaliśmy w tym mie-ście, a on już dokładnie wie, którędy chodzę, jeśli nie wzywam służbowego samochodu! Miło, że się tak troszczą, że chcą wszystko wiedzieć, ale w gruncie rzeczy takie przyjemne to nie jest. Wolałbym jednak mieć jakieś swoje sprawy. Wyłącznie swoje. Takie choćby, jak trasa moich porannych, pełnych re-eksji spacerów po mieście. Mam chyba do tego prawo, a jeśli poznam jakąś miłą, oddaną sprawie dziewczynę i uda mi się zaprosić ją do mojego gniazdka, jakby stworzonego dla odda-nych sprawie, miłych dziewcząt, i kiedy będziemy wreszcie tonąć w stosie tych rozkosznych poduszeczek i jaśków, to czy też wyjedzie z szafy ten odrapany russo-bałt z gorliwym, zало-dzonym od pędu i wiatru służbistą? «Towarzyszu, zostawcie

towarzyszkę dziewczynę i natychmiast...» Ale swoją drogą, gdyby nie szatańska intuicja tego, który mnie teraz wzywał, pewnie wszystko potoczyłoby się inaczej. Nie wiadomo nawet, czy w ogóle jeszcze bym żył, a jeśli, to gdzie? I jak? Ukochany synalek najlepszego agenta Ochranki, którego ojciec w dodatku przyjechał tu przed laty z Polski. Te moje trzy semestry w Korpusie Junkrów... Celujące oceny. Cztery lata wzorowej służby frontowej. Pasma awansów od chorążego aż do kapitana, dwa medale św. Jerzego za odwagę, a ze strony matki, jakby tego jeszcze było mało, kaukasko-książęce koneksje. To cud, że żyję – i to jak żyję!”